

ANDREAS ENGLISCH

# UZDROWICIEL

CUDA

ŚWIĘTEGO JANA PAWŁA II

Przekład

Paulina Filippi-Lechowska

Wydawnictwo WAM ■ Księża Jezuiti  
Kraków 2014

Tytuł oryginału  
DER WUNDERPAPST  
JOHANNES PAUL II

Revised and extended edition Copyright © 2014 by Andreas Englisch  
([www.andreasenglisch.de](http://www.andreasenglisch.de)),  
represented by AVA international GmbH, Germany  
[www.ava-international.de](http://www.ava-international.de)

Originally published 2011 by C. Bertelsmann Verlag, Munich,  
in der Verlagsgruppe Random House GmbH

Wkładka zdjęciowa © Andreas Englisch

© Wydawnictwo WAM, 2014

wydanie poszerzone na podstawie:  
Uzdrowiciel. Jan Paweł II, Wydawnictwo WAM, Kraków 2012

Redakcja  
Ewa Zamorska-Przyłuska

Współpraca  
Zofia Palowska

Korekta  
Dariusz Godoś, Agnieszka Caba

Projekt okładki  
Andrzej Sochacki

zdjęcie na okładce  
© Grzegorz Gałązka

ISBN 978-83-277-0171-8

Wydanie trzecie

WYDAWNICTWO WAM  
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków  
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003  
e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)  
[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY  
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496  
e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA  
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447  
faks 12 62 93 261  
[e.wydawnictwowam.pl](http://e.wydawnictwowam.pl)

Druk i oprawa  
Drukarnia WAM • Kraków

## *Spis treści*

I odmienił oblicze świata	9
Czy Bóg prowadzi kule?	27
Człowiek z Wadowic	43
Nie lękajcie się!	70
Gołąb z Zacatecas	115
Walka Karola Wojtyły	142
Krakowska tajemnica	153
Zagadka Karola Wojtyły	159
Strzał na placu Świętego Piotra	203
Dlaczego akurat tutaj?	207
Gniewny człowiek z Watykanu	229
W rękach Boga	255
Rozmarzony papież	267
Błogosławiony uzdrawia	276
Indeks osób	318
Ilustracje	321

## *Błogosławiony uzdrawia*

WATYKAN, 1 MAJA 2011 ROKU. W niedzielę 1 maja 2011 roku, o świcie, pojechałem skuterem na plac św. Piotra, bo miała tam zostać odprawiona msza beatyfikacyjna. Nic nowego. W ciągu ostatnich dwudziestu lat byłem obecny na setkach beatyfikacji i kanonizacji. Za każdym razem obserwowałem odsłonięcie wizerunku nowego błogosławionego; obraz umieszczony jest zawsze na tle dywanu zwisającego z balkonu na fasadzie gigantycznej świątyni. Rozmawiałem z potomkami błogosławionych lub świętych i badałem niezliczone cuda, nieodmiennie zafascynowany pytaniem, czy to, co zniosło prawa natury, było naprawdę Boską ingerencją. Jednak tego dnia, kiedy zmierzałem na miejsce Via dei Fornaci, było zupełnie inaczej. Zapewne dlatego, że po raz pierwszy miałem uczestniczyć w beatyfikacji człowieka, którego znałem, z którym rozmawiałem, z którym latałem samolotem i który czasami beształ mnie jak uczniaka. Choć było jeszcze coś, co wywoływało ucisk w żołądku. Ważne było nie tylko, że go znałem, lecz również to, kim był Karol Wojtyła, człowiek, którego mimo najlepszych chęci nie potrafiłem sobie wyobrazić jako czczonego przez wiernych błogosławionego. Nie w tym rzecz, że nie uważałem go za błogosławionego, który wkrótce zostanie bez wątpienia ogłoszony świętym.

Nigdy nie ukrywałem, że już od dawna uważam Karola Wojtyłę za świętego. Ale jednocześnie nie poznałem w Watykanie nikogo, kto w tak małym stopniu postrzeżałby sam siebie jako potencjalnego świętego czy choćby błogosławionego.

Już sobie wyobrażam, co by się działo, gdybym za życia Karola Wojtyły, podczas którejs z długich podróży, postawił mu takie pytanie: „Czy Wasza Świątobliwość sądzi, że któregoś dnia Kościół ogłosi go błogosławionym albo świętym?”. Uniósłby wtedy brwi i wykonał gest, który zdawał się mówić: „Znasz w Watykanie niejednego dostojnika, który uważa, że jestem okropny. A gdybym zaczął wyliczać tych, o których nie wiesz, że uważają mnie za okropnego, naprawdę zdziwiłbyś się, jak długa byłaby to lista”. Bywali w Watykanie duchowni, o których mawiano, że to zapewne święci. Modlili się bez ustanku, odprowadzali msze, wciąż się spowiadali... ale przede wszystkim jednak starali się nie podpaść. I to była istota ich działalności. Tajemnica Karola Wojtyły polegała zaś na tym, że jeszcze nigdy nie było takiego papieża oraz że w kółko podpadał. Obserwowałem mnóstwo jego posunięć, które nijak nie pasowały do stylu bycia pobożnych mężów z Watykanu. Najbardziej spektakularną i najbardziej kontrowersyjną decyzją papieża była bodaj zmiana polityki zagranicznej Watykanu wobec Moskwy. Kardynałowie z Sekretariatu Stanu byli zdania, że Stolica Apostolska powinna nastawić się na pewien rodzaj współpracy z komunistycznymi władzami w Moskwie. Wojtyła natomiast wierzył w rychły koniec moskiewskiej potęgi, stąd jeszcze w 1989 roku wie-

lu dyplomatów watykańskich posądzało go o naiwność, a niekiedy nawet o głupotę. Innym posunięciem wywołującym trwające latami dyskusje były papieskie podróże. Setki razy słyszałem kardynałów rozprawiających za plecami Karola Wojtyły, że stanowi on prawdziwy upadek w historii papiestwa, ponieważ nie pojął tego, co w nim najważniejsze. Wszak jest następcą świętego Piotra, a miejsce Piotra jest w Rzymie. To święty Paweł pielgrzymował do wiernych. Karol Wojtyła, Boży maratończyk, zglobalizował Kościół i odwiedził 129 krajów na całym świecie. Jednak wielu, zwłaszcza włoskich kardynałów uważało to za poważny błąd, nawet obrazę. Sporo z nich podpisałoby się pod stwierdzeniem, że Karol Wojtyła to raczej papież wyjątkowo nieudolny, a nie święty. Dziś niejeden z nas zdaje się zapominać, jak kontrowersyjne bywały niektóre z postępowych posunięć Jana Pawła II. A przecież, gdyby Karol Wojtyła nie przeforsował wbrew woli Watykanu i mimo jego ogromnego oporu idei spotkań z młodzieżą, papież Franciszek nie przeżywałby dziś takiego triumfu, jak podczas Światowych Dni Młodzieży w Rio de Janeiro w lipcu 2013 roku.

Argumenty przeciwników Światowych Dni Młodzieży były nawet przekonujące – msza święta jest pomysłem dla co najwyżej dziesięciu tysięcy wiernych. Nie może być takiej sytuacji, jak podczas nabożeństwa na zakończenie Światowego Dnia Młodzieży w Manili: uczestniczyło w nim cztery i pół miliona osób, które nie mogły należycie przyjąć komunii. „Pomysł wielomilionowego spotkania z młodzieżą to niedorzeczność” – twierdziło wówczas wie-

lu kardynałów. Dziś natomiast zakrawa na istny cud, że akurat te najbardziej kontrowersyjne decyzje papieża Jana Pawła II przyniosły Kościołowi największy pożytek. Konfrontacyjna polityka Watykanu wobec Moskwy doprowadziła ostatecznie do zwycięstwa papieża z Polski, jego zagraniczne podróże przyczyniły się do rozkwitu Kościoła na całym świecie, a w szczególności w Afryce i Ameryce. Światowe Dni Młodzieży stworzyły całkiem nową generację młodych ludzi z całego świata, którzy poczuli wzajemną bliskość, a niektórzy z nich wybrali życie konsekrowane. Światowe Dni Młodzieży mają jednoczyć katolików z całego świata. Jednak o sukces tego przedsięwzięcia, który dziś zyskał wielu „ojców”, Karol Wojtyła musiał najpierw zawalczyć, następując przy tym na odcisk niejednemu dostojnikowi kościelnemu. A postawiwszy na swoim, musiał potem we własnym domu – Watykanie – znosić niesnaski. Jan Paweł II z całą pewnością nie był w Watykanie postrzegany jako błogosławiony, a co dopiero święty. Miał świadomość, że papież, który zapragnie tam coś zmienić albo unowocześnić, czy wręcz zrewolucjonizować, nie może liczyć na uznanie otoczenia. Wiedział, że napotka na opór, a mimo to poszedł własną drogą i nie oczekiwał pochwał. Kardynał Stanisław Dziwisz ma rację mówiąc, że tym, co wyróżniało Karola Wojtyłę, była wewnętrzna wolność. Szedł własną drogą, bo uważał ją za słuszną. Nie znosił, gdy go chwalono. Pamiętam zdanie, które powtarzał podczas podróży zagranicznych: „Żle o mnie piszecie”, po czym dodawał z uśmiechem: „Ale zasłużyłem sobie na to, żebyście pisali o mnie jeszcze gorzej”.

Kiedy najbliżsi przyjaciele mówili mu, że widzą w nim świętego, tylko z tego żartował. Wszyscy w Rzymie znali odpowiedź Jana Pawła II na zatroskanie sióstr zakonnych, które troszczyły się o niego w Watykanie. Za każdym razem, kiedy te dzielne kobiety mówiły: „Martwimy się o Waszą Świątobliwość”, mając na myśli jego stan zdrowia, odrzekał z uśmiechem: „Ja sam martwię się o swoją świątobliwość”. Chciał przez to być może powiedzieć: jestem grzesznikiem, nie zasługuję wcale, abyście widzieli we mnie świętego. Co więcej, mam powody, by w obliczu moich grzechów naprawdę się martwić, czy życie, które prowadzę, jest miłe Bogu.

Nic tak nie wyprowadzało papieża z równowagi, jak próby chwalenia go. Sam się o tym po wielokroć przekonałem. Raz było to dziesięć lat po największym triumfie Karola Wojtyły – po upadku muru berlińskiego. W listopadzie 1999 roku, w rocznicę tamtego wydarzenia, siedziałem w samolocie, którym papież Jan Paweł II leciał z New Delhi do Tyflisu. Zagadnałem ówczesnego rzecznika Watykanu, Joaquína Navarro-Vallsa, czy nie mógłbym porozmawiać z papieżem o tamtym pamiętnym dniu. I obmyśliłem nadzwyczaj piękne i inteligentne pytania. Na początek jednak zamierzałem podziękować. Pragnąłem powiedzieć Karolowi Wojtyłe, że jako Niemiec czuję szczególną wdzięczność, gdyż to właśnie Niemcy, jak żaden inny kraj, zyskały dzięki upadkowi muru wiele – możliwość zjednoczenia. Potem przygotowałem sobie pytania, w których była mowa o niekwestionowanych zasługach papieża. Chciałem się dowiedzieć, czy potrafi so-

bie wyobrazić, jak potoczyłaby się historia Europy ostatnich dwóch dziesięcioleci, gdyby nie przeżył zamachu z 1981 roku. Miałem też w zanadrzu kwestię, jak ważne, jego zdaniem, było wsparcie Watykanu dla Solidarności. No i jak ocenia rolę przywódcy NRD Ericha Honeckera. W końcu to Honecker, ze strachu przed papieżem, w liście skierowanym do pierwszego sekretarza KPZR Leonida Breżniewa ostrzegł Moskwę przed utratą socjalistycznej Polski. Albo pytanie: jak z dzisiejszej perspektywy ocenia swoją podróż do Polski za żelazną kurtyną. W końcu sam Michaił Gorbaczow przyznał w Watykanie, że bez tamtej wizyty i bez tego papieża z Polski mur w Berlinie wcale by nie runął.

Odpowiedź Karola Wojtyły na tę całą listę moich starannie wykoncypowanych pytań okazała się zupełnie inna, niż się spodziewałem. Powiedział oto, że nie ma nic wspólnego z końcem sowieckiego imperium i nie miał udziału w zburzeniu berlińskiego muru. „To nie ja, to ręka Boga skruszyła mur berliński”.

Karol Wojtyła nie patrzył na świat jak historycy, którzy nie mają wątpliwości, że w czasach przełomu w Europie i upadku sowieckiego mocarstwa odegrał on decydującą rolę. Karol Wojtyła nie wierzył w swoją historyczną rolę. Postrzegał siebie jako nic nie znaczące narzędzie, usiłujące jedynie podążać za Bożą wolą. Za każdym razem, kiedy moi koledzy próbowali nadawać jego osobie podobne znaczenie, a więc popełniali ten sam błąd co ja, Wojtyła wpadał w gniew. Podczas wizyt w krajach dawnego komunistycznego imperium, Rumunii, Kazachstanie, Bułgarii, Ukra-

inie czy Słowacji, moi koledzy co rusz usiłowali wracać do tak formułowanych pytań. Czasem udawało mi się w ostatniej chwili któregoś z nich od tego odwieść, często jednak było już zbyt późno i papież znów odpowiadał z dużą dozą irytacji: przemiany w Europie są wyłącznie dziełem Boga i Matki Boskiej. To modlitwy do Maryi odmieniły Europę, nie jakiś człowiek z Wadowic. Karol Wojtyła nie tylko nie znosił pochwał, ale żył w przeświadczeniu, że uczynił wciąż zbyt mało. Dobrze jeszcze pamiętam tę potworną wojnę pomiędzy plemionami Hutu i Tutsi w Ruandzie w 1994 roku. Papież wiedział, że dochodzi wówczas do rzezi chrześcijan również w kościołach. Wiele razy próbował przeformować swój zamiar udania się w rejon walk. Wiedział, że konflikt przybrał już takie rozmiary jak w Polsce podczas II wojny światowej. ONZ szacowało liczbę zabitych na od osiemset tysięcy do miliona. „Ci ludzie potrzebują papieża, muszę tam pojechać”, powtarzał. Nie przyjmował do wiadomości, że to po prostu zbyt niebezpieczne. Nawet wtedy, kiedy już naprawdę nie był w stanie, Karol Wojtyła podróżował dalej, bo taka była jego wola. I nie oczekiwał za to pochwały. Nigdy nie zapomnę tego widoku, kiedy w 2003 roku w Słowacji watykańscy gwardziści wyciągali go z samochodu niczym paczkę. Schorowany człowiek o starym, znieruchomiałym ciele. Starali się zasłonić widok, kiedy papieża wyciągano lub wsadzano do auta. Jednak nie dawało się ukryć, że ów człowiek z Wadowic jest u kresu sił. A jednak nadal się nie poddaje. Nie potrafię sobie wyobrazić, by coś Wojtyłę bardziej zakłopotało niż hymny pochwalne na oczach całego świata, wysławiające jego osiągnięcia i siłę

jego wiary. Tymczasem owego 1 maja 2011 roku byłem w drodze na uroczystość, podczas której to właśnie miało być czynione.

Mimo że nie mogłem się pozbyć wrażenia, że uroczystość tego rodzaju byłaby Karolowi Wojtyłe nadzwyczaj niemiła, czułem niewątpliwie ekscytację. Miała w niej bowiem uczestniczyć kobieta, która jako jedyna na świecie wiedziała o czymś niewiarygodnym: czego mogła dokonać dusza Karola Wojtyły po jego śmierci w dniu 2 kwietnia 2005 roku. Z nieba.

Wciąż dobrze pamiętam, jak przeciwnicy Jana Pawła II wieszczyli, że już wkrótce po odejściu zostanie on całkowicie zapomniany. Jakże się pomylili. Rzadko widywałem przed bazyliką św. Piotra takie tłumy, jak w dniu jego beatyfikacji. Według szacunków policji już poprzedniego wieczora podczas wieczornego nabożeństwa w Circus Maximus zgromadziło się tam ponad czterysta tysięcy osób. Ludzie, a wśród nich setki tysięcy Polaków, spali na Via della Conciliazione łączącej plac św. Piotra z Zamkiem Świętego Anioła. Leżeli jak się dało, na twardych kamieniach. Watykan zdawał się przeżywać potężne, choć pokojowe oblężenie. W noc poprzedzającą beatyfikację pielgrzymi siadali, gdzie tylko znaleźli miejsce, by odpocząć po trudach długiej podróży. Zakonnice i księża opatuleni jedynie w płaszcze spali wprost na ulicach lub w bramach kamienic. Wielu przez całą noc się modliło – wszystkie okoliczne kościoły pozostały otwarte. Każdy próbował wywalczyć sobie miejsce, z którego w decydującym momencie, o drugiej w nocy, kiedy miał zostać otwarty

plac św. Piotra, najłatwiej uda się tam dostać. To właśnie stanowiło główne zmartwienie wszystkich zgromadzonych w nocy – czy uda się uczestniczyć we mszy na placu św. Piotra, czy trzeba będzie zadowolić się telebimami na Via della Conciliazione. Jeszcze zanim weszło słońce, policja szacowała liczbę zgromadzonych wokół Watykanu na ponad półtora miliona. Ja sam stałem wysoko, na kolumnadzie skrzydła Karola Wielkiego, skąd spoglądałem na masy pielgrzymów. Prowizoryczne posłania już poznikały, tłum z nadzwyczajną dyscypliną pozbierał też wszystkie śmieci, by godnie świętować uroczystość. Naraz w mroku poranka w oknie, w którym papież pojawiał się niezliczoną ilość razy, by odmówić Anioł Pański i pobłogosławić tłumy, spostrzegłem zapaloną świecę. Poczuliem się wtedy tak, jak gdyby w ten poranek Karol Wojtyła, sześć lat po śmierci, raz jeszcze na kilka godzin powrócił na plac świętego Piotra. Na ten plac, który odcisnął takie piętno na jego losie i z którego przemieniał cały świat. Zapragnąłem wówczas spojrzeć w oczy tej kobiety, która ponoć przeżyła spotkanie z Karolem Wojtyłą po jego śmierci. Po pewnym czasie przeciskałem się więc już przez tłum w stronę zakonnicy, która zdążyła na plac. Przywitałem się i przyjrzałem się jej. Karol Wojtyła miał powiedzieć do tej kobiety dwa miesiące po swojej śmierci: „Napisz moje imię!”. Czy naprawdę mogło tak być?

Ilekróć mam do czynienia z zatwardziałymi ateistami, opowiadam im tę historię z 2 czerwca 2005 roku. Mówię o chwili, kiedy krew zastygła mi w żyłach. Przekonałem się, że trzeba naprawdę wierzyć w świat bez Boga, żeby

pozostać obojętnym na szczegóły tej historii. Z początku wszyscy, łącznie ze mną, sądzili, że Watykan potwierdził po prostu kolejne cudowne uzdrowienie, jakich było już wiele, by w ten sposób umożliwić beatyfikację Jana Pawła II. Dopiero później dowiedziałem się, że chodzi o szczególną wiadomość, jaką Karol Wojtyła miał wysłać z nieba. Marie Simon Pierre Normand przychodzi na świat w roku 1961 w rodzinie mieszkającej pod Cambrai w północnej Francji, gdzie dorasta wraz z pięciorgiem rodzeństwa. Dziewczyna szybko odkrywa powołanie i niedługo po bierzmowaniu postanawia zostać siostrą zakonną. Wkrótce zetknie się Małymi Siostrami Macierzyństwa Katolickiego i pozostanie pod wielkim wrażeniem tego zgromadzenia. Napisze o nich później: „Zwróciłam na nie uwagę, bo z ich twarzy nigdy nie znikał uśmiech a ja wciąż zastanawiałam się, co napełnia je taką radością”. Podejmuje decyzję, towarzysząc chorym podczas pielgrzymki do Lourdes. Chce wstąpić do klasztoru, i to właśnie do zgromadzenia Małych Sióstr Macierzyństwa Katolickiego. Rodzice protestują, pragną, by córka zwyczajnie wyszła za mąż, ona jednak nie zmienia decyzji. W czerwcu 2001 roku musi się poddać leczeniu z powodu paraliżu. Lekarze diagnozują chorobę Parkinsona. To dla niej ciężki cios. Jest leworęczna, a choroba zaatakowała u niej właśnie lewą stronę ciała. Kolejne lata w klasztorze Puyricard pod Aix-en-Provence na południu Francji stają się coraz trudniejsze. Siostra Marie Simon Pierre podziwia Jana Pawła II, swoim przyjaciołom zwierza się jednak, że z bólem patrzy na papieża dotkniętego tą samą co ona chorobą.

– Widząc w telewizji papieża Jana Pawła II, widziałam samą siebie za kilka lat.

Choroba z biegiem czasu się nasila. Zakonnicy coraz trudniej pracować w izbie porodowej. Wieczorem 2 kwietnia, w dniu śmierci Karola Wojtyły, modli się wspólnie z siostrami swojego zgromadzenia.

– Kiedy usłyszałam, że umarł, pomyślałam, że odszedł przyjaciel, papież, który pokazał mi, że nie można się poddawać.

W dniu 26 maja 2005 roku Marie Simon Pierre wraca po feriach do swojego klasztoru w Puyricard. Choroba poczyniła dalsze postępy. Zakonnica jest prawie bez sił. Próbuje jakoś przetrwać kolejne dni, ale w końcu czuje, że już dalej nie może. 2 czerwca z największym trudem idzie do siostry przełożonej.

Prosi o zwolnienie z obowiązków. Nie ma już sił. Oczy ma duszy widzi przed sobą tylko długi tunel cierpienia, na którego końcu czeka śmierć. Jedyne, co trzyma ją jeszcze przy życiu, to zdanie z Ewangelii św. Jana: jeśli wierzysz, będziesz miał życie wieczne. Siostra przełożona nie od razu przystaje na jej prośbę, woli dodać jej otuchy. Prosi ją, by napisała imiona papieża. Ta bierze do lewej ręki ołówek i próbuje. Jednak na kartce są widoczne jedynie nieczytelne gryzmoły. Obie z przerażeniem patrzą na nie w milczeniu. To jak pisemna deklaracja końca wszelkiej nadziei. Nie ma już co spodziewać się poprawy. Niezliczone modlitwy kierowane do Boga przez pozostałe siostry w intencji wyzdrowienia siostry Marie Simon Pierre i ustrzeżenia jej przed straszliwym cierpieniem nie przyniosły rezultatu. Przełożo-

na zwalnia ją z obowiązków. Los zakonnicy jako przykutej do łóżka chorej zdaje się ostatecznie przypieczętowany. Tymczasem wieczorem wydarza się cud. Siostra słyszy zrazu czyjś głos mówiący: „Napisz moje imię!”. Czyżby to był głos Jana Pawła II z zaświatów? Czy to on nakazał jej napisać swoje imię? Sparaliżowana kobieta bierze do ręki ołówki i zupełnie niespodziewanie potrafi wyraźnie, bezbłędnie i czytelnie zapisać imiona Jana Pawła II. Nieuleczalna choroba znikła. Cokolwiek miało miejsce tamtego wieczoru, ciężko chore ciało zakonnicy zostało uleczone. Cokolwiek się stało, ciężki paraliż lewej strony ciała ustąpił. Następnego dnia siostra Marie Simon Pierre czuje się jak nowo narodzona, a choroba już nigdy nie daje o sobie znać.

Lekarzom z zespołu doktora Patricia Poliski, osobistego lekarza papieża, który z polecenia Kościoła bada cudowne uzdrowienia, historia siostry Marie Simon Pierre wydaje się niepojęta. To bowiem jedyny udokumentowany przypadek wyzdrowienia z choroby Parkinsona. Doskonale rozumiem ludzi, którzy nie wierzą w cudowne uzdrowienia. Badałem setki cudów, rozmawiałem z dziesiątkami lekarzy i wiem, że dla wielu z nich to po prostu nadzwyczajny zbieg okoliczności. Jestem przekonany, że słysząc o rzekomym cudownym uzdrowieniu, wielu lekarzy powie to samo: albo to istotnie cud, albo niewyjaśniony przypadek, którego medycyna na dzisiejszym etapie rozwoju wprawdzie nie potrafi wyjaśnić, ale niewykluczone, że w przyszłości będzie to możliwe. Wiem, co mogliby teraz powiedzieć sceptycy: skoro do papieża Jana Pawła II modlą się o pomoc miliony wiernych, to tylko kwestią

czasu pozostaje, kiedy któremuś z nich przydarzy się coś niewytłumaczalnego. A zatem w przypadku siostry Marie Simon Pierre, bez względu na to, czy wierzyło się w Boga, czy nie, mieliśmy do wyboru trzy możliwości:

1. Zakonnica wcale nie zachorowała na Parkinsona. Po prostu została źle zdiagnozowana.

2. Zachorowała na Parkinsona, jednak w jakiś niewytłumaczalny, choć naturalny sposób wróciła do zdrowia, co można tłumaczyć jako nadzwyczaj rzadki, ale możliwy przypadek samoistnego wyzdrowienia.

3. To rzeczywiście cud.

Dla półtora miliona ludzi, którzy zgromadzili się na placu św. Piotra w dniu beatyfikacji, nie było wątpliwości, że to cud. Że sprawił to przebywający w niebie papież Jan Paweł II. Cały tłum wstrzymał oddech, kiedy papież Benedykt XVI ucałował relikwiarz, szklaną ampułkę zawierającą kawałek materiału nasączony krwią Jana Pawła II. To był wielki dzień dla Polaków. Nie dość, że pierwszy w historii słowiański papież, to jeszcze włączony do grona błogosławionych. Choć Karol Wojtyła spędził w Rzymie prawie jedną trzecią swojego życia, w głębi serca pozostał Polakiem i do śmierci czuł się zobowiązany wobec swojej ojczyzny. W czasach komunistycznej dyktatury chciał chronić swoich rodaków nawet po śmierci, dlatego poinformował przyjaciół, że rozważa swój pochówek na Wawelu. Gdyby więc nie upadł mur berliński, szczątki zmarłego Karola Wojtyły stałyby się celem pielgrzymek dla wszystkich katolików za żelazną kurtyną. Powstałoby miejsce przypominające, że nikt nie ma prawa odebrać narodowi

polskiemu wolności wyznawania religii. Jego grób stałby się pomnikiem wzniesionym w proteście przeciw uzurpatorom próbującym wyrugować wśród Polaków wiarę w Chrystusa. W dniu beatyfikacji miało miejsce jeszcze jedno polskie zwycięstwo. W chwili odsłonięcia na fasadzie bazyliki św. Piotra obrazu nowego błogosławionego stałem obok mojego przyjaciela, fotografa Grzegorza Gałązki. Twarz Grzegorza promieniała i był ku temu niemalże powód. To on bowiem wykonał zdjęcie, które posłużyło teraz jako oficjalny wizerunek kandydata na ołtarze. To on uwiecznił ten papieski uśmiech. Teraz i my uśmiechaliśmy się do siebie, wspominając, jak utyskiwaliśmy na tego człowieka, który właśnie został błogosławionym. Było to podczas jego ostatniej wizyty w Krakowie. Po długim, upalnym dniu szukaliśmy piwa – daremnie, jak zwykle, bo podczas papieskich wizyt w miastach, które odwiedzał, obowiązywał, jak zawsze, zakaz sprzedaży alkoholu. Wtedy jednak sytuacja Artura Mariego, oficjalnego fotografa papieża, autora setek tysięcy zdjęć Jana Pawła II, była bez porównania korzystniejsza. Karol Wojtyła czuł się wobec niego tak dalece zobowiązany, że pragnął się z nim osobiście pożegnać na łożu śmierci. A mimo to historyczne zdjęcie, wybrane spośród milionów innych, wykonał nie Arturo Mari, lecz Polak, Grzegorz Gałązka, fotograf z dalszego planu, który musiał się zdawać na Vika van Brantegema, pracownika sali konferencyjnej, dobrą duszę wszystkich fotoreporterów, ryzykującego nieraz własnym życiem, by podczas papieskich pielgrzymek ułatwić pracę fotografom w jakichś szczególnie niepewnych sytuacjach. Grzegorz musiał sam

finansować kosztowne podróże u boku papieża. Przeżył niejedną ciężką chwilę. Dobrze pamiętam jego telefony, gdy zwierzał mi się z obaw o przyszłość, a mimo to, na przekór przeciwnościom, robił swoje, jeździł za „swoim” papieżem. Jako człowiek z drugiego planu, walczący o każde ujęcie, starał się jednak jak najlepiej wykonać swoją robotę. I do historii przeszedł właśnie on, sapiący pod ciężarem dźwiganego sprzętu, niezmordowany Polak o wielkim sercu. To on zrobił to zdjęcie papieża Jana Pawła II, które mają teraz przed oczami wszyscy wierni, ilekroć modlą się do Karola Wojtyły w którymś z rzymskich kościołów.

Jeszcze wiele tygodni po beatyfikacji pisałem wciąż o przypadku siostry Marie Simon Pierre. Początkowo nie zorientowałem się więc, że uroczystość wywołała poruszenie, które następnie doprowadziło do powzięcia przez Kościół niewiarygodnego przypuszczenia dotyczącego Jana Pawła II.